Trzydzieści dni

Annelies Verbeke

An extract

Original title Dertig dagen
Publisher De Geus, 2015
Translation Dutch into Polish
Translator Goska Diederen

© Annelies Verbeke/Goska Diederen/De Geus/Flanders Literature – this text cannot be copied nor made public by means of (digital) print, copy, internet or in any other way without prior consent from the rights holders.

Rozdział 11

Senne koszmary ustały. Zastanawiał się skąd się brały, nie było żadnego powodu. Czy to jakiś świat przedzierał się do niego, czy to ulatniały się jego własne demony? Z minionej nocy przypominał sobie jedynie, że obejmowało go zabarwione na czerwono ciepło, jak w wylęgarni.

Kat też się obudziła, wypełniali wczesny poranek przekomarzaniem, jak ptaki za oknem. Kat zadaje pytanie:

- Czy nie uważasz, że „Bóg" w każdym języku jest innym facetem? W językach słowiańskich nazywa się Bog. Od kogoś takiego można się natychmiast spodziewać kary.

- I to niekoniecznie sprawiedliwej. – odpowiada Alfons.

- No właśnie. Dios lubi organizować imprezęy. A Dieu wygląda bardziej na kogoś, kto pozornie nieporuszony nakłada pomadę na wąsy i myśli: nałożyć nie nałożyć.

- God jest niezgrabnym głuptasem ze skłonnością do przesady.

- Allah jest trochę marudą.

- Jalla jest dobry w czymś niezwykłym, dlatego cieszy się szacunkiem, ale trochę go unikają.

Kat się śmieje, a on śmieje się razem z nią.

Nie wiedzą co mają myśleć o Atemicie, Bogu ludu Diola. Jego imię brzmi inteligentnie, ale widać w nim również skłonność do kończenia dyskusji tylko w wypadku przyznania racji.

Kat jedzie do Brukseli, na spotkanie w sprawie tłumaczenia, będzie nocowała u przyjaciela. Cieszyła się, że zobaczy swoje rodzinne miasto, ale teraz mają psa. Rozważa możliwość zabrania Björna ze sobą, dzwoni do przyjaciela, czy się zgodzi. Nie zgodził się. Ma odwołać spotkanie?

- Ja go ze sobą zabiorę – mówi Alfons.

Słowa „ze sobą" podziałały na psa bardzo ożywczo.

Czarne kudły Björna są przystrzyżone. Bez wizyty u fryzjera miałby przez oczami firankę i nie byłoby widać, że bez przerwy przygląda się Alfonsowi z siedzenia dla pasażera. Przy wsiadaniu kazał siąść Björnowi pod deską rozdzielczą.

- Tutaj jest miejsce na nogi i dla piesków – usłyszał jak przekonuje sam siebie.

Björn spojrzał na niego z roztargnieniem, „wiesz lepiej", i Alfons się poddał. Torba z korą leży w bagażniku między puszkami farb. Może zagra coś dzisiaj dla Hadriana.

Nie wie jak lekarka zareaguje na psa, nie powiadomił jej o nim. Kiedy wychodzi, żeby mu otworzyć drzwi, informuje ją o swoim towarzyszu i dodaje bez przekonania, że pies może zostać w samochodzie. Na zazwyczaj ostrej twarzy lekarki pojawia się wzruszenie. Podchodzi do furgonetki z otwartymi ramionami. Björn odpowiada na jej entuzjazm grzecznym machaniem ogona, wolno idzie za nią do kuchni i pozwala się częstować suchą kiełbasą, pokrojoną na nadmiernie małe kawałki. Hadrian, który siedział przed telewizorem idzie w ślady mamy. Po kolei wtykają do pyska Björna kawałki kiełbasy.

- Idziesz dzisiaj do szkoły? – pyta Alfons, bo chłopak zamienił szlafrok na spodnie i sweter.

- Nie, musi jeszcze odpocząć – odpowiada matka.

Hadrian znalazł piłkę tenisową i rzuca ją po domu ku radości Björna.

- Idźcie z tą piłką do ogrodu – syn jej posłuchał, a ona zwraca się do Alfonsa. – Z jakiej części Afryki pochodzisz?

- Zachodniej. Z Senegalu.

- Byłam na Madagaskarze. Z drugiej strony.

- W podróży poślubnej?

Lekarka śmieje się przyłapana.

- Nie, w charakterze lekarza, w pewien sposób, chociaż nie o to chodziło. Pojechałam na safari. Odpocząć.

Alfons czeka.

- Mój mąż lubi grać w golfa, ja nie. W ten sposób na ulicy w Antananarywie spotkałam mężczyznę. Sortował śmieci. Między nami ktoś poślizgnął się na krawężniku, zbadałam jego kostkę. Wtedy ten człowiek, który sortował śmieci, złapał mnie za ramię. „Docteur?" – zapytał. To było jedyne słowo jakie znał po francusku. Poszłam za nim. W głowie miałam chór głosów pod kierunkiem mojego męża: „Nie rób tego!" Byłam jednak przekonana, że nic mi nie grozi. Zaprowadził mnie do klitki zbudowanej z blachy falistej i śmieci. W środku, w ciemności, leżała jego sześcioletnia córeczka.

Śledzi oczyma piłkę rzucaną przez Hadriana w ogrodzie.

- Tutaj można by coś na to poradzić. Infekcja, właściwie niezagrażająca zdrowiu. Próbowałam. Podawałam zastrzyki. Nie mogłam znaleźć odpowiednich leków. Wracałam do niej codziennie, ale

powinnam zrobić coś więcej, zawieźć ją do szpitala, mimo, że wydawało się iż ojciec tego nie chce. Mąż mówił, że tak to już jest, na niektórych kontynentach umiera więcej dzieci niż na innych. Gdyby tak się nie działo, mielibyśmy za dużo ludzi na świecie. I że lekarz nie może pomóc wszystkim. Mój mąż potrafi dobrze relatywizować. I chętnie rzuca argumentami. Zarzucił mi, że popsułam naszą podróż poślubną, że mój upór jest uroczy, ale nie w taki sposób. Mówił dokładnie to samo przed jej śmiercią i po. Minęło już dwadzieścia lat. – Dwadzieścia lat! Kiwnięcie palcem! – mąż, z tym swoim golfem, jakie śmieszne to wszystko, jakie głupie, życie, tak szybko mija. Nie chcę powiedzieć, że to jego wina, że on zmusił mnie do zmiany. Wiem, że należę do tego miejsca, i cieszę się z tego co mam. Głupio byłoby się nie cieszyć? Dopasowałam się do środowiska, które mnie całkowicie pochłonęło. Myślę, że odniosłam sukces.

Patrzy na niego ze złością. Alfons milczy.

- Miała na imię Rindra. Nie mogłyśmy rozmawiać, ale cały czas śledziła mnie swoimi wielkimi oczami. Dzień przed śmiercią wskazała na siebie i powiedziała „docteur", a jej ojciec powtórzył za nią „docteur", wskazując ją palcem. Myślę, że chciała zostać lekarzem. Miałaby teraz dwadzieścia sześć lat. Nie miała aktu urodzenia, oficjalnie nigdy nie istniała.

Mówi szybko i głośno, sprawia wrażenie, że chciałaby go zaatakować.

- Powiedz mi, powiedz mi! Co miałam zrobić? Co mam teraz zrobić?

- Rób tyle ile możesz.

- Ale mogę o wiele więcej, tylko wybieram bezpieczną drogę!

- Musisz zrobić tyle, żebyś się z tym dobrze czuła, szczęśliwie.

- O tak? A wiesz kiedy wszyscy czują się „szczęśliwi" na takim safari? Ludzie przychodzą z listami zwierząt, chcą zobaczyć jak one umierają za sprawą innych zwierząt. Chcą oglądać lwy zagryzające uciekające antylopy i krokodyle rozszarpujące brodzące przez wodę gnu. Inaczej mają nieudane wakacje. A co, jeśli ktoś czuje się szczęśliwy, kiedy pruje samochodem dwieście na godzinę przez centrum wsi, albo torturuje innych?

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie wierz ludziom, którzy Ci wmawiają, że twoje zaangażowanie jest słabością, że się mylisz, że kłamanie jest formą miłości.

Jej wątpliwości przybierają kształt złości, uderza dłońmi w marmurowy blat.

- Skąd wiedzieć czego się chce? Szczęście jest bardziej skomplikowane niż mówisz!

Znowu uderzenie.

- Ale przecież powiedziałaś mi czego chcesz?

Patrzy na niego, słyszy jego oddech, kiwa głową, aż to kiwanie doprowadza ją do przebudzenia. Świetlista mgła między nimi zamienia się w powietrze. Zapach jesieni wdziera się do środka, kiedy Hadrian otwiera drzwi i wpuszcza za sobą Björna.

- Naprawdę mądry pies! – mówi chłopiec.

- Kawy? Herbaty?– pyta lekarka Alfonsa.

- Zabrałem picie ze sobą – odpowiada.

Znowu słychać dźwięk przesuwanych drzwi, brzęk serwisu, odgłosy stóp zmierzających dokądś, psa głaskanego w przejściu.

Hadrian bawi się z Björnem na górze. Słychać szuranie po suficie, Alfons szlifuje deski okrągłymi ruchami. Meble poukładał na części wyłożonej kafelkami. Tym razem używa drobniejszego papieru ściernego, muska miękkie deski i posuwa się coraz dalej. Drewno jest najpiękniejsze jak jest takie bezbronne. Wydaje mu się, że słyszy za sobą wzdychanie. Szansa, że takie surowe drewno nie ulegnie uszkodzeniom jest mała. Odkurza i znowu wygładza, na kolanach.

Siada na krześle ogrodowym przy drzwiach. Nalewa wody do miseczki i szklanki, dla dziecka i dla psa. Wyjmuje korę z bagażnika samochodu. Gra znajomą piosenkę, odpływa myślami, wznosi się, staje się wiatrem szumiącym w gałęziach, odrywającymi się listkami. Kos zapowiadający deszcz ucichł nagle i słucha, przekrzywił główkę. Deszczu nie będzie. Tak jak Alfons myślał, muzyka wywabia do ogrodu dziecko i psa. Poruszają się trochę niezgrabnie wokół niego, dryfują wśród dźwięków, siadają na progu. Tak zastaje ich lekarka. Opiera się o skrzynkę na listy i słucha.

Przed odjazdem podaje mu swoje imię i nazwisko, Brigitte Dubois, musi je przecież znać, do faktury.

Alfons nakazuje Björnowi czekać w samochodzie i wchodzi do środka Pita Merci. Duran przygotowuje bułkę z falafelem i pyta:

- Bez kurczaka?

- Tak.

Duran rusza prawym palcem wskazującym, tak jakby chciał od razu sprawdzić, czy jest sprawny.

- Rusza się trochę inaczej, ale nie boli.

- Dostałeś jakąś nagrodę w Japonii?

- Tak, ale Argentyńczycy ją zabrali. Należałem do ich grupy. Mam zdjęcia swoich prac. W zamrażarce. Możesz sobie poogłądać, znasz drogę.

Szuflada z figurkami jest pusta, leży tu tylko brązowa koperta.

- Zrobię dla ciebie nową figurkę Shaka Duran. Wszystkie zostawiłem, żeby się stopiły w Japonii. Transport był zbyt kosztowny. Zdjęcia są w kopercie.

- Dlaczego je przechowujesz w zamrażarce? Mógłbyś je powiesić tutaj, na ścianach.

- Lubię dzielić swoje zajęcia. Jak jestem tutaj, to moja sztuka jest tam.

Wskazuje pitą ladę i zamrażarkę, następnie kładzie bułkę na papierowym talerzyku.

Alfons wytrząsa zdjęcia z koperty. Mają rozmiar A4 i pokazują kolorowo podświetlony, nocny krajobraz, pełen pałaców, mostów, śniegowych figur i lodu. Jest kilka zdjęć imponującego, świecącego na biało drzewa, z koroną wielkich liści. To musi być praca zespołu Argentyny.

- No więc one stoją z boku – mówi Duran.

Teraz Alfons je dostrzega. Rządek Duranów ustawiony jest obok pnia jak kolonia mrówek. Zbliżenia pokazują, że ludziki wspinają się do góry. Rządek wychodzi z maleńkiego igloo wielkości jeża, stojącego obok pnia.

- Ładne!

- Merci.

- Co słychać?

- Ach – widać, że Duran czekał na to pytanie. – No więc mój ojciec ma rację jak mówi, że nie mogę przez całe życie rzeźbić lodowych Duranów. No więc muszę wymyślić coś nowego. Jednocześnie zadaję sobie pytanie dlaczego miałbym robić coś innego? Dlaczego mam tworzyć coś dla publiczności. No więc, czy chodzi o to, żeby ktoś za każdym razem mówił: Brawo Duran, świetne?!

Alfons ugryzł porządny kawałek pity, gryzie i przeżuwa zanim odpowiada Duranowi, że przecież chce on coś powiedzieć odbiorcom, chce ich poruszyć, połączyć. Myśli o korze w bagażniku między puszkami farby, o jej basie w pustym domu.

- No więc coś takiego – Duran bawi się solniczką. – Bardzo mi się podobało, że ludzie pochylali się, żeby się lepiej przyjrzeć tym ludzikom. No więc nie chodzi tylko o szacunek dla mojej pracy, ale też dla mnie. I nie tylko to. Chodzi też o coś czego nie rozumieją, ja też nie, chodzi o to chcenie, o to pojęcie. Ludzie zadawali pytania. Ożywiali się.

- No to chyba bardzo dobrze!

- No tak, ale nie wszyscy tacy byli, a była jeszcze nagroda z tym związana, najpierw bardzo się ucieszyłem, że ją wygraliśmy, dostaliśmy drugą nagrodę, ale kilku Argentyńczyków było niezadowolonych, uważali, że Kanadyjczycy nie zasłużyli na pierwszą nagrodę i wtedy zawodnicy z Południowej Korei zaczęli protestować, byli wściekli. Zastanawiali się co ten turecki Belg robi w drużynie argentyńskiej. Ich prace też były ładne, ale w inny sposób, nie rozumiem jak można porównywać tak różne prace, jak jury może wybierać. A najgorsze było to – no więc to jest śmieszne z mojej strony, wiem o tym, ale mnie głęboko zasmuciło to, że wszystko się stopiło. Wiedziałem naturalnie, że tak będzie, ale mimo wszystko. No więc wszystko co tam stało, stopniało, zniknęło.

Jego ręce zostawiły tymczasem solniczkę w spokoju. Patrzy na nią tak, jakby miała się zaraz stopić.

- Ale tam byłeś i wszystko widziałeś – mówi Alfons.

- Tak, no więc z tego się bardzo cieszę.

- I dołożyłeś swoją cegiełkę.

- Tak – Duran wzrusza ramionami. – No więc to jest prawda.

Pojawienie się nowego klienta wnosi ze sobą na pierwszy plan dźwięki radia. Alfons płaci, a Duran nalega, żeby podstemplować jego kartę klienta.

- Zjadłeś już? – pyta Willem. Stanął w drzwiach, kiedy usłyszał, że Alfons parkuje furgonetkę.

- Tak, właśnie coś zjadłem.

- Zrobiłem zupę.

To coś nowego. Żeby Willem zupę gotował. Obiecuje, że wpadnie jak tylko weźmie prysznic. Björn może mu towarzyszyć.

Najczęściej to Willem przychodzi do niego. Po pierwsze dlatego, że prześladuje go nieobecność Marie-Jeanne i chce uciec z domu. Ale Alfons nie przepada za ciemnym salonem Willema, z wytartymi dywanami i zakurzonymi maskami, nie lubi szczególnie stojącego zegara, który zdominował mieszkanie. Nie pozwala oderwać od siebie uwagi, czas chce być słyszany i widziany, bije co godzinę. Jak starszy człowiek może znieść tak natrętne odmierzanie czasu? Björn też początkowo nie znosił zegara, szczekał i gryzł, ale w końcu zrezygnował wyniośle.

Alfons chwali zupę paprykową Willema.

- Tęsknię za samochodem – mówi Willem. – Nie powinienem go jeszcze sprzedawać.

- No to kup sobie nowy – odpowiada Alfons.

Willem macha ręką.

- Zbliżam się do osiemdziesiątki, jak długo jeszcze będę mógł jeździć?

- Czy to ważne?

Cisza.

- Jutro mam wolny dzień – oznajmia Alfons. – Klient zrezygnował, a u drugiego podłoga musi przez jeden dzień pooddychać. Może pojedziemy gdzieś razem? Poszukamy *tirailleurs sénégalais*?

Reakcja jak u biednego dziecka, któremu zaproponowano wyjazd do parku rozrywki. Willem nawet klaszcze w ręce. Umawiają się na następny dzień rano.

Tylko w bieliźnie wyciąga się na kanapie. Gra leniwą melodię na basie, kładzie gitarę na stoliku, włącza telewizor, ogląda dziennik. Gwinejczyk w Dakarze wyzdrowiał po zakażeniu wirusem eboli i wrócił zdrowy do swojego kraju. Wyłącza telewizor. Björn ziewa na macie obok niego, przeciąga się i wlecze do miski z jedzeniem. U Kat wszystko w porządku, Bruksela za nią tęskniła, jest zadowolona, że tam jest, zostanie na dzień dłużej, chyba się nie obrazi? Alfons leży dalej po skończonej rozmowie telefonicznej, ręka na brzuchu, zaciśnięta wokół członka, który wiotczeje, kiedy Björn chce mu się przyjrzeć z bliska. Zastanawia się, czy zwierzę będzie hamulcem dla wszelkiej formy erotyki. SMS od Aliny: czy mogą się połączyć przez Skype'a. Nietypowe dla siostry, może coś się stało z mamą? Siada prosto, ale Alina ma tylko zły sen do zameldowania. W tym śnie

Alfons znajdował się w niebezpieczeństwie. A kiedy się obudziła, usłyszała głos, ostrzegający, że Alfonsowi coś grozi. Wie co on myśli o takim głosie, ale czy dobrze się czuje? Czy ludzie są dla niego sympatyczni? Siostra ma imię po Alinie Sitoa Diatta, która od głosu otrzymała zadanie uwolnienia od kolonializmu ludu Diola, a następnie wszystkich Senegalczyków. Nazywano ją królową Casamance, czyniła cuda i ratowała ludzi, zanim nie zmarła w więzieniu. Siostra bierze głos bardzo serio. Według niego jej przeczucia i przepowiednie nie miały żadnych konsekwencji w rzeczywistości. Jedyny raz, kiedy spróbował rozmawiać z nią o schizofrenii, wzruszyła ze współczuciem ramionami. Teraz uspokaja ją, że sny są tylko snami, głos nie jest prawdziwy, a z nim wszystko w porządku. A jak ona się czuje?